

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

3

— Tych słów tu niema — zauważył detektyw. — A jednak, kto wie... Jasnem jest w każdym razie, że chodzi tu o jakąś tajemnicę rodzinną. Pan Ormond, który zna oddawna panią Clemmens, będzie nas mógł poinformować w tym kierunku.

— Tak — odparł doktor — ale ja go o te wyjaśnienia pytać nie będę.

Byrd podniósł żywo głowę i spojrzał zdziwiony.

— Pan nie chce się w tej kwestyi zwrócić do niego? — zapytał ze zdumieniem.

— Oczywiście — odparł doktor Fradwell — On to bowiem będzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, bronił oskarżonego i sądę, że wobec tego pan Ormond nie zechce być włączanym w śledztwo policyjne.

— Czy nie przyszło panu na myśl — rzekł z naciskiem detektyw — że pan Ormond może mieć inne jeszcze przyczyny do niewyjawienia swojego zdania w tym kierunku?

— Nie — odparł doktor, silnie zdziwiony tem pytaniem.

Młody detektyw przybrał natychmiast obojętną minę.

— Ta młoda dziewczyna — bąknął — która tak widocznie zainteresowaną była śmiercią Clemmens... myślałem więc, że przez wzgląd na nią...

— Miss Darnell? Ależ, kochany panie, w czymże jej ciekawość, czysto kobieca, wpłynąć może na zachowanie się pana Ormond?

— Pan Byrd pragnął zapytać koronera, czy pierścień znaleziony na dywanie pokoju, rzeczywiście należał do młodej dziewczyny. Albo, po krótkim namyśle, wolął zachować dla siebie zrodzone podejrzenie, póki nie dowie się czegoś pewnego.

Widząc jego wahanie, doktor Fradwell rzekł z uśmiechem:

— Nie przypuszcza pan chyba, że miss Darnell włączana być może w tę tragiczną historię.

Detektyw potrząsnął głową, nie zdołał jednak ukryć rumieńca, który mu objął twarz całą. Zły był na siebie, że podpatrzono jego myśl.

Widząc jego zmieszanie, doktor roześmiał się głośno.

— Jak na detektywa, kochany panie — zawołał — posiada pan niedobry węch. Miss Darnell nie tylko jest panną ogólnie szanowaną w naszym mieście — ale nie znała wcale pani Clemmens i nie wiedziała nawet nic o niej.

— Jeżeli pan sądzi — rzekł po chwili Byrd, oddając list doktorowi — że mogę panu być potrzebnym i że otrzyma pan dla mnie przyzwolenie moich zwierzchników, to jestem do usług pana. Tymczasem...

— Otwieraj pan dobrze oczy i milcz! — rzekł doktor.

Młody detektyw skłonił się z uśmiechem. W czasie tego krótkiego porozumienia, pan Ormond i prokurator opuścili już biały domek. Doktor Fradwell wkrótce uczynił to samo, zabezpieczwszy się przedtem przed ciekawością publiczności, chcąc się koniecznie dostać na miejsce zbrodni. Pan Byrd zaś, z chwilą, kiedy sam pozostał, przystąpił do skrupulatnego oświetlenia wszystkich zakątków Białego Domku. Zauważył sobie położenie wszystkich drzwi kominka, z pod którego zostało zabrane polano drzewa i zegar, przed którym ofiara napadnięta została. Złapał również drobniarz, pozostawione na stole, przejrzał uważnie dywan, rozciągnięty na podłodze. Pokryty był wysokim, gęstym włosem, mógł więc zachowywać w sobie jeszcze inne rzeczy, prócz pierścienia, znalezionej przez miss Darnell. Dokonawszy tych czynności, otworzył drzwi, prowadzące na ogród.

Ktoby był teraz widział młodego detektywa, bystrym, przenikliwym wzrokiem przetrząsającego najdrobniejsze kąty i zakamarki, chodzącego krokiem sprężystym i energicznym, z wyrazem dziwnej energii na twarzy — ten nie byłby w nim rozpoznał obojętnego, powolnego człowieka, przyjmującego zimno i niedbale uwagi doktora Fradwella.

Trzecia godzina wybiła na ratuszowej wieży. Byrd, ojejrzawszy już wszystko dokładnie, zdecydował się powrócić do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie oczekiwał go prokurator.

Szedł szybko, zatopiony w myślach, kiedy niespodziewanie zastąpiła mu drogę stara kobieta, która raz już usiłowała zawiązać z nim rozmowę. Najwidoczniej czatowała na jego wyjście z Białego Domku.

— Teraz zechce pan może powiedzieć mi cośkolwiek — rzekła, przysuwając się blisko do Byrda i przyszywając go wzrokiem, zdradzącym szatańskie jakieś zadowolenie. — Bierze mule pan pewnie za starą bajczarkę, ale się pan myli. Nie naróżno od lat 75 chodzę po świecie, roztwierając oczy i nadstawiając uszów. Wiem więcej, niż się to ludziom zdawać może! Niech pan mi powie, co ona w tej sprawie zaczy?

— Kto taki?

— Hę! Pan wie dobrze. Ta piękna panna, która taka dumna jest wobec biednych ludzi. Sowa nie rzekła, a wszyscy jej ustąpili z drogi. Widziałam samą! Ona musi się interesować śmiercią pani Clemmens, skoro tu przyszła.

— Nie wiem, o czym mówicie — odparł z pogardą młody detektyw, niemile dotknięty, że ta stara, wstrętna wiedźma słowami swoimi potwierdza jego własne przypuszczenia. — Miss Darnell nie ma nic wspólnego z tą biedną kobietą, zamordowaną w tak okropny sposób. To tylko czyste uczucie ludzkości przywiodło ją tutaj.

— Ah, doprawdy? — zawołała stara, uśmiechając się chytrze. — Panu się zdaje, że pan bardzo mądry! Niech pan wie, że wszyscy mężczyźni to głupcy! Kiedy się znajdą przed ładną dziewczyną, od razu na nich ślepotą spada i gotowi nie dojrzeć końca własnego nosa! A zresztą, co mnie to obchodzi? Co się ma stać, to się stanie. Naprózno będzie się pan wysilał i inni również — nie uda się wam zagłuszyć sprawy po waszej woli. Nadejdzie chwila, w której się dowiemy, czy ta naiwna paniuszka umiała ładnie swoje paluszki we krwi, czy też nie...

— Hula! Hula! — zawołał Byrd, widząc, że stara chce się oddać. — Czy wy wiecie coś kompromitującego o miss Darnell? Jeżeli tak, to mówcie jasno! Ale, jeżeli wasze słowa podyktowane są jedynie pragnieniem zaspokojenia niskiej zemsty, to strzeżcie się! Pan Ormond i pan Ferris nie są ludźmi, którzy lubią żartować w takich wypadkach! Rozumiecie mnie?

Mówiąc to, detektyw przeniknął wiedzę surowym i grzyzm wzrokiem. Rzutem tych słów był natychmiastowy. Stara cęła się szybko dzikim i brutalnym ruchem, obejmując młodego człowieka spojrzeniem pełnym nienawiści.

— Czy ja wiem coś? — wyszeptała niezrozumiale — Hę, mój dobry panie! Skąd ja, stara kaleka, mam ciś wiedzieć! Mówię tylko, że często spotyka się w życiu dziwne i ciekawe rzeczy. Kiedy pan będzie miał moje lata, będzie pan tak samo myślał.

Uśmiechnawszy się jeszcze ironicznie, stara oddała się spiesznie, oglądając się od czasu do czasu, jak gdyby w obawie, że uprzy niebezpieczne dla niej osobistości, wymienione przez detektywa.

Ale zaledwie zniknęła na zakręcie ulicy, Byrd zaczął żałować, że jej odejść bez wytłumaczenia pozwolił.

— Pewnem jest — myślał — że ta stara wiedźma ma słuszną. Głoby chodziło o kogo innego, a nie o tę wspaniałą i dumną miss Darnell, z pewnością byłbym się raczej zabrał do roboty. Ale, chociaż nanieżę do polcy, nie przestałem być człowiekiem. Zagroziłem tej starej, zamiast ją zjeść sobie i dokonałem tylko tego, że teraz unikać i strzecz się mnie będzie, a zdaje się, że mogłem wyciągnąć od niej niejedno. Co robić? Złe się już stało. Pozostaje mi tylko uprzedzić pana Ormond o niekorzystnym wrażeniu, wywołanem nierozważnem postąpieniem jego krewnej.

Adwokat zdziwił się bardzo, kiedy Byrd poprosił go o chwilę rozmowy na osobności.

— Przepraszam, że niepokoję pana, panie Ormond — rzekł detektyw — ale wydarzył się przed chwilą fakt, o którym powinien pan być uwiadomiony. Niech mi pan odpowie przedewszystkiem na jedno pytanie.

— O co chodzi? — zawołał zaniepokojony adwokat.

— Czy miss Darnell ma nieprzyjaciół w tem mieście?

— Nieprzyjaciół? Co to ma znaczyć?

— Niech pan posłucha. Zostałem zaczepiony przez starą kobietę, która pozwoliła sobie na różne insynuacje i groźby pod adresem miss Darnell.

— Nie rozumiem, o co chodzi doprawdy. Jakież insynuacje pozwolono sobie rzucić na moją krewną?

— Nie wiem tego jeszcze dokładnie. Nie wyrażając się jasno, kobieta ta dała mi do zrozumienia, że miss Darnell musi być interesowaną w zabójstwie pani Clemmens i...

Pan Ormond nie zdołał powstrzymać okrzyku wściekłości.

— Niech mi pan powtórzy dokładnie, co ona

panu mówiła! — wyrzekł nakazującym tonem do Byrda.

Nie przerwał ani jednym słowem opowiadania detektywa, nie zdradzając żadnym zewnętrznym ruchem wrazenia, jakiemu podlegał.

— Panie Byrd! — rzekł, kiedy tamten zamilkł — Nie potrzebuję objaśniać pana, że opinia miss Darnell stoi ponad wszelkimi podejrzeniami. Nie mogę również zapewnić pana, że nie znam najdrobniejszej okoliczności z życia miss Darnell, dającą się zastosować do tej tragicznej historii. Jestem jednak zmuszony przyznać, że dzisiejsze zachowanie się jej mogło wywołać niekorzystne dla niej uwagi. Dla tej przyczyny więc proszę pana o zachowanie w tajemnicy rozmowy swojej z tą starą kobietą. Zobaczą się z kuzynką, a może ona wyjaśni mi to zachowanie się, któremu winna podejrzenia śmiało rzucone na nią.

Pan Ormond miał, wymawiając te słowa, wyraz przymusu i sztuczny uśmiech na twarzy, które zwróciły uwagę detektywa i dały mu wiele do myślenia.

— Zdaje mi się, że Ormond wie więcej, niż chce powiedzieć — pomyślał Byrd, wychodząc.

Beatrycza Darnell.

Aby uniknąć plotek, tak częstych w małym, prowincjonalnym miasteczku, rozszerzono pogłoskę, że miss Darnell była daleką krewną adwokata Ormond i jego siostry. Jednakże nie było w tem ani cienia prawdy.

Miss Darnell została pewnego dnia znalezioną na progu jednego domu w Bostonie, wychowaną i zaadoptowaną przez panią Darnell, wdowę po wysokim urzędniku i posiadającą emeryturę, dającą jej możność spokojnego i dostatniego życia. Po śmierci swojej opiekunki, młoda dziewczyna, pozostawiona bez żadnych środków, ale mająca gruntowne wykształcenie, postanowiła szukać zajęcia i znalazła je wkrótce przy paninie Ormond, której została damą do towarzysztwa. Pan Ormond uchodził za zdecydowanego odudka.

Sytuacja jego socyalna, zalety fizyczne i intelektualne czyniły z niego człowieka, którego by chętnie niejedna wybredna panna wzięła za męża — ale dla niewiadomych przyczyn, od lat piętnastu, to jest od dnia przybycia do Sydney — umiał on rzetelnie uniknąć sieci, zastawionych przez matkę, pragnące mieć takiego zięcia.

Powiedziano o nim wkrótce, że Ormond nie jest człowiekiem, ale maszyną, stworzoną do obrony, rozmaitowany jedynie w swoich licznych klientach.

Kiedy, po jakimś czasie, rozeszła się dyskretna wieść, że adwokat nie zdaje się być nieczułym na wdzięki swojej pięknej kuzynki — nikt w to uwierzyć nie chciał. Niektórzy utrzymywali, że to żart i wzruszali ironicznie ramionami, drudzy śmiali się głośno.

Zresztą pan Ormond sam do niedawna jeszcze nie miał zamiarów, które mu przypisywano. — Pomimo wpływu młodej dziewczyny, której młodość i czar lekko na niego działać zaczął — postanowił uczynić ją swoją córką i dziedziczką, ale o poślubieniu jej nie pomyślał jeszcze.

Jednakże powoli, przy codziennym zetknięciu się z młodą dziewczyną, której piękność i urok wzmagaly się z dniem każdym, w sercu pana Ormond zrodziła się miłość tem trwalsza i głębsza, że podlegał jej człowiek, który przeszedł już pierwsze szaty młodości. Ormond nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze swojego uczucia i trwał dalej w zamiarach nieżenienia się nigdy, ale pewna okoliczność otworzyła mu oczy i wykazała obecny stan duszy. Było nią morderstwo pani Clemmens.

Wytrącony ze zwykłego spokoju dziwnem zachowaniem się młodej dziewczyny, głęboko wzruszony wiadomością, że i inni również podejrzewali motyw, które popchnęły ją do pojawienia się w Białym Domku — pan Ormond poznał nagle rodzaj uczucia, jakie żywił dla Beatryczy Darnell. Poznanie to spotęgowało się jeszcze tego samego dnia, gdy, powracając do domu, spostrzegł przed sobą młodą dziewczynę, idącą spiesźnie z torebką podróżną w ręce.

— Beatryczo! — zawołał — Co to jest? Gdzież ty się udajesz?

Młoda dziewczyna podniosła na niego wzrok, w którym wyczytał nienokój i podrażnienie.

— Udaję się do Buffalo — odrzekła.

— Do Buffalo?!

Pan Ormond nie uwierzył samemu sobie. Choć miss Darnell okazywała zazwyczaj wielką energię i niezależność w każdej czynności swojego życia, nie mógł pojąć, jak mogła przedsięwziąć tę podróż, nie porozumiewszy się z nim poprzednio.